

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 105

№ 15. | Warszawa, 19 lipca (1 sierpnia) 1903 r. | Rok V.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

WYSTAWA PSÓW.



«Treff» wyżeł niemiecki, p. Józefowicza (Medal srebrny).

SARNA

(*Cervus capreolus*)

przez Wiktora Stephana.

(Praca nagrodzona I nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(Ciąg dalszy).

Ustawa więc dozwala w różnych krajach różnie zwierzynę użytkować, myśliwska jednak zasada powinna być taka, aby na rogacza wtedy tylko polować, kiedy rogi oczyścił i włos zupełnie zmienił. Kto dla rogów poluje, wyczeka jeszcze chwilę, aby rogaczowi różki ściemniały i białe końce gładko wystąpiły. Przyrodzone właściwości sarny, jak niemniej sposób jej życia wytworzył następujące metody polowania:

1) Na wychodnego.
2) Na wabia.
3) Na podjazd, względnie na podchód.
4) Z naganką.

O polowaniu z psami wcale nie wspominam, gdyż sposób ten używany jest tylko w górach, a jako zwierzynę bardzo niepokojący, zupełnie nie do zalecenia.

W przeciwstawieniu do polowania z psami, najmniej niepokoi zwierzynę polowanie na wychodnego. U nas jednak sposób ten bardzo mało jest używany, więc wspomnę tylko, że polując na wychodnego znać potrzeba żerowiska i ścieżki, któremi zwierzyna prawie punktualnie na żer wychodzi. Dobrze jest także pamiętać, że silny rogacz zwyczajnie ostatni na żer wychodzi.

Na stanowisku musi być myśliwy rano, godzinę przed wschodem, wieczorem godzinę przed zachodem słońca. Przy wyborze stanowiska kierunek wiatru musi być uwzględniony.

Polowanie na wabia znane było już w dawnych wiekach, u nas jednak również bardzo mało jest rozpowszechnione, a polega na naśladowaniu głosu, wydawanego przez sarnę w czasie rui, który rogacza przywabia.

Piszczący głos kozy da się bardzo dobrze naśladować na cienkiej, łuszczącej się, białej korze z brzozy, lub na liściu z gruszy; aby jednak właściwy ton uchwycić, potrzeba pewnej wprawy. Obecnie są w handlu maszynki metalowe, któremi doskonale głos sarny się naśladuje. Chodzi więc tylko o to, jak wabić. Tego nauczyć się można, obserwując sarny przy zadawanej paszy u jarzma, gdzie młodsze, niedopuszczone do żeru, krążą wokoło i piszczą.

Wabić należy o ile możności jaknajkrócej, a powtarzać wabienie nie częściej, jak 6 do 10-iu razy w odstępach co 10 sekund.

Wabić można tylko w czasie rui, gdyż w innej porze rogacz wcale na wabia nie idzie, a raz zrażony, już drugi raz, zwłaszcza stary, zwabić się nie da.

W czas mokry i słotny szkoda wszelkiej fatygi, gdyż rogacz na wabia się nie skusi.

Gdzie liczba rogaczy w stosunku do kóz przeważa, tam wabienie będzie skuteczniejsze.

Najodpowiedniejszą porą do wabienia jest wczesny ranek lub czas między 11-tą a 3-ią godziną popołudniu. Najłatwiej wabią się rogacze młode. Ze względu na bystry wzrok sarny, dalej ze względu na nadzwyczajnie dobry słuch i węch, zachować się potrzeba na stanowisku zupełnie spokojnie, zwłaszcza, że często na głos wabia podchodzi lis, któremu przy tej sposobności darować nie można.

Podjazdy — jako najodpowiedniejsza metoda polowania na sarny, są u nas najwięcej rozpowszechnione. Samo przez się rozumie się, że podjazdy tylko tam wykonywane być mogą, gdzie ku temu sprzyja teren, gdzie są drogi i linje. Nikt nie będzie rogacza podjeżdżał w górach lub w okolicy bagnistej. Tam myśliwy zmuszony jest podchodzić pieszo, co jednak więcej wymaga uwagi i wysiłku, a skutek zabiegów mniejszy. Sarny bowiem na podjeżdżający zwykły wóz wcale uwagi nie zwracają i na odległość strzału dadzą się podjechać.

Pieszy myśliwy musi mieć zatem więcej wytrwałości i pewien zasób sprytu myśliwskiego, aby ze skutkiem polować.

Tak do jednego, jak i do drugiego sposobu polowania, potrzebny jest dobry wzrok; aby zaś na próżno nie podjeżdżać ani nie podchodzić i już z daleka rodzaj zauważonej sztuki oznaczyć, niezbędnym, pomocniczym instrumentem jest dobra lornetka.

W jaki sposób i na jakie okoliczności zwrócić ma myśliwy uwagę przy powyższej metodzie, opisywał nie będę, gdyż myśliwy jest z tem dobrze obznajmiony. Nadmienię tylko, że podjazd udaje się najlepiej przez dwie do trzech godzin z brzaskiem dnia i dwie do trzech godzin przed zachodem słońca.

MACIEJ ŁAGUNA.

(*Dokończenie*).

Wszystkie inne psy zamknięte były w psiarni, dobrze opatrzonej, mającej w około ścian gradus podniesiony z desek szerokich i uściełony słomą, na którym psy spały; drzwi psiarni obrócone były na południe; miała ona posadzkę kamienną z rowkiem osuszającym i osobną komórkę dla suk szczennych i karmiących. Nade drzwiami tego budyneczku był napis z Firlejowskiej inskrypcyi (z zamku Firlejowskiego, znajdującego się w obwodzie brzeżańskim w Galicyi), przez niego przerobiony i zamykający niejako kodeks, jakiego się psy trzymać miały:

W polu stanąć i wyczekać,
W knieji równo trop oszczekać;
Znać wołanie, słyszeć rogi
I pilnować pańskiej nogi.

Pan Maciej Łaguna miał już blizko sześćdziesiąt lat, i równie jak jego ojciec i dziad, urodził się i wyrósł w dobrach Potockich, u których rozmaite pełnił funkcye. Gust do myślistwa wcześnie się w nim rozwinął i wraz z krwią ojca przeszedł do syna. Że zaś nowy pan, u którego służbę swą zaczął, wcale co innego miał w głowie, w dobrach swych nie siedział, o kniejach nie myślał, sam nawet podobno strzelać nie umiał, ale zajęty był cały sprawami kraju, książką i piórem, a pan Maciej miał fundusik po ojcu, i po stryju bezdzietnym dość okrągłą sumkę dostał, porzucił więc służbę, zapragnął swobody i samotności, szukał w okolicy gdzieby mógł najrozmaitszym sposobem pasyi swej dogodzić, i znalazłszy pod Łagowem ów dworek z dwiema włókami gruntu, upodobał sobie miejsce ustronne i piękne, kupił go i tu osiadł.

Sam pan Maciej był wysoki, chudy, kościsty, przez ciągły ruch i umiarkowane życie zdrów i niezmiernej siły. Czoło miał otwarte, okryte siwym włosem, trochę przerzedzonym na ciemieniu; oczy siwe i bystre, brwi duże, rysy twarzy foremne, ale policzki przy ustach zapadłe, a kości podoczne bardzo wystające; zęby jeszcze zdrowe, wielkie wąsy rudawo-siwe, które, jak dwie strzechy, nad ustami jego sterczały.

... Myśliwski strój jego składał się z czapki z daszkiem i odkładanemi na przypadek zimna, barankowemi uszami; z kurtki zielonej, sukiennej, z połami, niedochodzącemi do kolan i z przodu odchylonemi.

Dnie słotne i wietrzne polowaniu temu nie sprzyjają. Po deszczu jednak, mianowicie wieczorem, jest czas bardzo odpowiedni. Do podjazdów używać, ile możności, koni o ciemnej maści, a nie jasnych lub siwych — z przyczyn łatwo zrozumiałych. Chociaż z drugiej strony powiem, że ze względu na skutek podjeżdżania, nie jest to warunek konieczny,—przyzna jednak każdy myśliwy, że siwy koń wogóle używany do czynności w lesie, jakoś dziwnie wygląda!

Poniżej daję stosunek, w jakim stoi do siebie prawdopodobieństwo upolowania rogacza na podjazdach, według dat średnich, powziętych z różnych miejscowości.

Przewidując równe warunki, upolować można:

w maju	6,₁₇	czyli	7	sztuk
w czerwcu	9,₈₈	"	10	"
w lipcu	10,₁₃	"	11	"
w sierpniu	8,₁₉	"	9	"
we wrześniu	2,₁₅	"	3	"
w październiku	2,₁₃	"	2	"
w listopadzie	1,₁₃	"	1	"
w grudniu	0,₁₁	"	—	"

Dla uzupełnienia powyższych cyfr, zaznaczam, że najlepszego skutku polowania spodziewać się można między 15 maja 20 czerwca i między 25 lipca a 15 sierpnia. Czas pomiędzy i za owemi okresami nie opłaci fatygi.

Ponieważ myśliwy nie strzela śrótem na dalszą odległość, jak 50 kroków, więc naturalnie na podjazdach strzela się wyłącznie kulami. Potrzebna jest zatem znajomość, jak zachowuje się sztuka po strzale. Byłbym o tem wcale nie wspominał, gdyby nie okoliczność, która mi się niedawno przydarzyła. Mianowicie słyszałem zdania starszych osób, mających ze zwierzyną i polowaniem ciągłą styczność, że rogacz musiał być trafiony, bo zabeczał i już, już miał się przewrócić, ale wpadł w krzaki i przepadł!

Otóż nie rozpisując się, podam krótko, główne oznaki, po których poznać można, że nietylko została sztuka trafioną, ale nawet w przybliżeniu oznaczyć gdzie. Przy strzale jednak, dla łatwiejszego, następnego oryentowania się, uwzględnić potrzeba pozycyę rogacza. Mianowicie wyczekać chwili, kiedy rogacz stanie „płotem“, czyli bokiem do myśliwego, następnie kiedy głowę ma podniesioną do góry, a to dlatego, że gdy się pasie i następnie wyprostuje, to skóra zasunie ranę i farby nie puści.

Myśliwemu powinno zależeć na tem, aby zwierzyna jaknajmniej cierpiała, zatem obowiązkiem jego jest strzelać i trafiać w miejsca, któreby najmniej przynosiły cierpień a najprędszą śmierć. Miejscem tem jest komora, a kula przechodzić powinna przez serce lub płuca.

Jeżeli rogacz po strzale zwraca się i nie uchodzi w kierunku w którym stał, ale w stronę przeciwną lub w dodatku straszy, lub umyka razem z innemi sarnami, to są pewne objawy, że został chybiony.

Uchylenie się, skok w prawo i lewo, czyli zygzak, również są oznakami chybionego strzału.

Rogacz trafiony w głowę, w kręgi szyi, w stos pacierzowy, nerki i w przód, to jest w łopatki, pada z dymem na miejscu. Jeżeli rogacz po strzale padł z dymem, to nie zaszkodzi natychmiast przekonać się, gdzie kula trafiła, gdyż łatwo być może, iż dotknęła tylko rożków, czaszki lub stosa pacierzowego i rogacz kontuzyonowany, po chwili, jak gdyby nigdy nic, uchodzi. (D. c. n.).

TEGOROCZNY ZWIERZOSTAN.

Ulewy i powodzie ostatnich tygodni budziły poważne obawy co do stanu zwierzyny w kraju. Nieustanne deszcze, powodujące wylewy rzek, wyrządziwszy rolnictwu straty poważne, groziły klęską zwierzynie kulturalnej. Hiobowe wieści dochodziły nas bezładnie, trudno więc było wyrobić sobie jakiekolwiek pojęcie o możliwych rezultatach nadchodzących polowań. Nie mówimy o okolicach, zalanych powodzią, tam nic już być nie może; woda zalała i przychówek tegoroczny i sztuki starsze, których instynkt w porę nie skłonił do opuszczenia miejscowości zagrożonych. Ale ulewy, nawalnice i nieustające deszcze, groziły wyludnieniem naszych pól i lasów zupełnem.

Ażeby się jako tako zoryentować w sytuacyi, rozpisaliśmy listy do przyjaciół naszego pisma w całym kraju z prośbą o dostarczenie nam wiarogodnych informacyj o stanie zwierzyny w danej okolicy, i otrzymane odpowiedzi zamieszczamy poniżej, dziękując ich autorom za łaskawe przyczynienie się do wyświetle-

---

Pod tę wierzchnią suknię w jesieni kładł łosiowy kaftan, a w zimie kożuszek barankowy, także nie dosięgający do kolan i czarnym pasem ciasno opięty. Na wielką wilgoć brał łosiowe spodnie i buty jałowicze, wyżej kolan zachodzące, zabezpieczone od rosy i błota smarowaniem, na które receptę miał zawsze w torbie, ale i na pamięć ją umiał, i spojrzawszy na myśliwego, który niewłaściwie był obuty, zaraz mu mówił:

— To źle, mosanie. Weź waść wieprzowego sadła pół funta, terpentynowego olejku łutów 10, wosku łutów 10, oliwy łutów 8, sadzy ile trzeba, ugotuj to waść dobrze i wysmaruj sobie buty, to będziesz kpił z doktora i aptekarzowi pokażesz figę.

Dzień za dniem upływał panu Maciejowi jednostajnie w spokoju, w ruchu i zajęciu, to polowaniem, to gospodarstwem, to książką. Pilnował on, żeby wszystko u niego szło porządnie, ale nie gderał, ani kłócił się ze sługami; nie martwił się nigdy, gdy się co nie udało, gdyż do zbiorów nie przywiązywał wielkiej wagi. Był umiarkowany, oszczędny, ale nie skąpy wcale, mając dosyć ze swego kawałka ziemi i z procentów na potrzeby swe, niezmiernie ograniczone. Wszakże słudzy jego mieli niezłą płacę i wygodę, bo dla nich i dla niego stół był prawie ten sam, a o konikach i krowach, szczególnie zaś o psach, pamiętał więcej, niż o sobie. Prowadził życie prawie samotne, lub w kniei z ogarami, lub na ściernisku albo na błotach z wyżłem lub w domu.

... Nowych książek... cierpieć nie mógł i taki sam do nich miał wstręt, jak do siatkowej torby i metalowej trąbki.

... Siedząc samotnie, miał... przy nogach potężnego legawca, który nie śmiał się poruszyć, a jednak czuwał.

... Wszakże pan Maciej nie był zupełnym odludkiem. Ile razy w okolicy było większe polowanie, zapraszano go, jako naczelnego wodza wyprawy. Stawiał się on wtedy chętnie w zielonej kurcie, w butach, wysmarowanych według przepisów, w borsuczej torbie, z trąbką, kniejówką i przyprowadzał z sobą jedną zwykle sforę, która, jak on myśliwym, tak całej zgrai gończych przewodniczyła. Do tego pierwszeństwa Dobosza i Dudy, Zagraja i Lotki, wielką przywiązywał próżność.

Często zdarzało się, że gdy stary jaki gracz szarak, lub czasem rogacz, kiedy polowano na sarny, puścił się na dwumilowe okładanie i zmylił tropy; gdy wszyscy myśliwi znudzeni, schodzili się na punkt zbor

nia kwestyi, mającej dla wszystkich myśliwych pierwszorzędny interes i prosząc zarazem opóźniających się o przyśpieszenie łaskawej odpowiedzi.

Z gub. Warszawskiej.

Osieck, 17 lipca.

Wylewów nie było. Deszcze zwierzynie nie zaszkodziły. Kuropatwy w pełnych stadach. Zające przezimowały bardzo dobrze i lęgły się obficie.

Z gub. Siedleckiej.

Różanka, 17 lipca.

Rezultat lęgu tegorocznego na przestrzeniach dóbr Włodawa jest normalny i dobry.

Mieliśmy jedną tylko ulewę groźną dla lęgu kuropatw, w d. 21 czerwca r. b. Ulewa ta nie przyczyniła nam jednak zbyt wielkiej szkody, bowiem następnych dni znalazłem wespół ze strażą leśną tylko sześć gniazd kuropatw i to wyłącznie w polach. W zagajeniach kuropatwy wylęgły się dobrze. Sarn młodych mamy około sztuk 80. Prawdziwą plagą dla naszych młodych sarn i zajęcy są dziki— i przeto dziś nie wiem, jak wyglądać będzie nasz stan zajęcy we wrześniu. Przychówek tegoroczny w dzikach oznaczony dotąd na 160 warchlaków. Zgraja ta tępi wszystko, co spotka w swych podróżach za żerem, a najwięcej cierpią zające. Źle przedstawia się stan kaczek. Pierwsze ich gniazda przepadły i przeto obecnie krzyżówki np. wyprowadzają gniazda drugie (powtórne).

Cz. Rożański.

Elżbietow, 17 lipca.

W powiecie sokołowskim ulew gwałtownych nie było, a tylko długotrwałe i obfite deszcze. Na łąkach spotykałem tylko stare bekasy, młodych nie było; widocznie całe gniazda zniszczone. Zajęcy w tym roku dosyć się widuje; jest nadzieja, że będzie ich więcej niż w przeszłym. Co do kuropatw, to obecnie trudno coś stanowczego powiedzieć, lecz nie zdaje mi się, aby deszcze mogły im wielką szkodę wyrządzić. Wiosna była u nas choć chłodna, ale sucha, w kwietniu już widziałem sporo zające marczaki. Jest nadzieja, że w tym roku, jeżeli nie więcej, to z pewnością mniej nie będzie zwierzyny, niż w przeszłym.

B. Czułajewski.

Z gub. Radomskiej.

Białaczew 17 lipca.

Dziesięciodniowe ulewy, zakończone zerwaniem grobel i upustów oraz zniszczeniem rybołówstw w całej okolicy, na tutejszej piaszczystej ziemi mniej szkód wyrządziło w rolnem gospodarstwie. O kuropatwach trudno dziś co powiedzieć; widziałem 2 stadka ze 3—4 sztuk zmęczonych i dających się w rękę wziąć—a że gniazda w tym roku liczne były i dobrze zapełnione, przypuszczam, iż musiała duża część wyginąć. Wylęgniętych i chowanych sztucznie 200 sztuk przeszło ten kryzys doskonale, zmarniało zaś 40 jajek na wylężeniu pod kurami. Zajączków od marca mnóstwo było, teraz sporo utopionych się znajduje, wogóle jednak dopiero po żniwach będzie można określić zwierzostan, który zapowiadał się wybornie. Bażantów kilka stadek, na dziko, widywano—przypuszczam, że musiały przepaść—tembardziej, żem wczoraj spotkał 4 samotne kury.

hr. Zygmunt Plater.

Trzebień 17 lipca.

Trudno sobie zdać sprawę, jakie szkody wyrządziły deszcze ostatnie w zwierzostanie; sądzę jednakże, iż zaszkodziły głównie kuropatwom, gdyż dużo jest jałowych par. Co się tyczy zajęcy, to ląg marcowy był u mnie bardzo pomyślny; następne lęgi także dobrze się udały i wogóle widuje się zajęcy młodych dosyć dużo. Zbadanie jednak ogólne ilości zwierzyny nie jest obecnie możliwe, z powodu zaledwie rozpoczętych sprzętów. Cała zwierzyna znajduje się obecnie głównie w zbożach.

hr. Jan Zamoyski.

Z gub. Płockiej.

Szpetal, 17 lipca.

Powiat lipnowski nie miał tak silnych ulew. W każdym razie, o ile można wnioskować, lęgi kuropatw, jak również i bażancie, skutkiem ciągłych deszczów — słabe. Natomiast sarn młodych i zajęcy spotyka się sporo.

Zdzisław Rutkowski.

Oleszno, 20 lipca.

Z przyczyny opóźnionych żniw, trudno dać dokładne sprawozdanie; sądzić jednakże należy, że ulewy dotkliwych strat w zającach nie wyrządziły, za to stan kuropatw jest rozpaczliwy. Dotąd wcale nie spotkałem młodych, tylko same starki, i to w parach, co dowodzi, że porzuciły zamoknięte gniazda—cała nadzieja na drugi ląg.

J. Biesiekierski.

Mława, 17 lipca.

Ulewy ostatnie nie zaszkodziły zwierzynie. Gorzej było w czerwcu, gdy deszcze zalały gniazda kuropatwie i dlatego często się widzi parki jałowe. Zające nie ucierpiały, owszem zapowiada się dobrze polowanie zajęcze.

A. Giełżyński.

Z gub. Kaliskiej.

Siedlec, 18 lipca.

W mojej okolicy (łęczyckie) ulewy w zwierzostanie dużo straty wyrządzić musiały. Przez trzy dni padał prawie bezustannie ulewny deszcz, niepodobna więc, żeby młode kuropatwy mogły ocaleć, chyba lęgi wczesne. Bardzo małe zajączki spotykano już u mnie nieżywe. Zboża jeszcze w polach, skutkiem niepogody i zaległych robót, żniwa nie rozpoczęto, trudno więc już teraz wyrzec coś o stanie zwierzyny.

L. Boettcher.

Stolec, 23 lipca.

Szkody, zrządzono przez powódź w zwierzostanie, są bardzo znaczne. Młode kuropatwy i bażanty, nie mówiąc już o zniszczonych gniazdach z jajami, prawie doszczętnie zostały zatopione i teraz przy sieczeniu żyta spotyka się ich dużo nieżywych. W łąkach nadrzecznych przepadły i zające, które traf nieszczęśliwy w czasie powodzi tam sprowadził; kilka sztuk nad rzeką u mnie znaleziono. Starą kuropatwę, widocznie dobrą matkę, która pomimo napływu wody nie chciała zejść z gniazda, przyniesiono mi na pół ży-

---

ny, a psy inne zbiegły się zawstydzone: pan Maciej zawsze jeszcze nasłuchiwał i kurka dubeltówki nie spuszczał, póki psów swych nie widział! Często po godzinie i więcej wypoczynku i zwątpienia, zrywał się z miejsca, wszystkie psy kazał brać na sfory, aby nie przeszkodziły, zwracał uwagę na daleki odgłos, który zwolna dawał się słyszeć, jak jakieś niewyraźne echo; który zbliżał się stopniami, dwoił się drugim znanym mu głosem do harmonijnego akordu, a gdy się stawał coraz wyraźniejszym i gdy wszyscy rozbiegli się na stanowiska; gdy huk się rozległ i kot stary lub kozioł zziajany upadł pod trafnym czyimkolwiek strzałem: wtedy pan Maciej patrzał z dumą i miłością na swoje psy, które bez sił kładły się przy jego nogach; głaskał je ze łzą w oku, brał jednego po drugim na ręce i niósł na swój wózek, przy którym najczęściej wracał do domu pieszo, aby im było wygodniej, aby mogły wypocząć po tym trudzie, który czoło jego okrył laurami.

wą; pomimo starannej opieki zdechła w krótkim czasie. Z ptactwa utrzymały się tylko młode, wyprowadzone do lasu przez doświadczone starki. Jedno z takich stad, a właściwie zapewne dwa stada połączone, liczące około 40 sztuk widziano w moim lesie. Podaję garstkę tych szczegółów, obecnie bowiem, przy stojących jeszcze zbożach, nie można dokładnie ocenić całego rozmiaru klęski, dla myśliwego i hodowcy nad wyraz bolesnej! Zaznaczyć tylko wypada, że polowanie jesienne winno być absolutnie zaniechanem. Za parę tygodni doniosę więcej.

F. Murzynowski.

Z gub. Łomżyńskiej.

Mały Płock, 17 lipca.

Miejscowej zwierzyny: zające, lisów i kuropatw, w tym roku jest wielka ilość. Ulewy zeszłego tygodnia nic nie szkodziły zwierzynie, gdyż w tej miejscowości, przeważnie grunta są piaszczyste. Powodzi nie było. Ulewny deszcz padał nie długo.

Wł. Walewicz.

Z gub. Grodzieńskiej.

Roś, 18 lipca.

W dobrach Roś i okolicy w roku bieżącym nadzwyczajnych ulew, ani powodzi nie było. Co się tyczy zwierzostanu, to możemy nadmienić, że w tym roku zające jest o wiele więcej, niż w latach poprzednich; kuropatwy są młode stadkami od 10—12 sztuk. Liczniejszych stad nie napotyka się. Grubsza zwierzyna, jak sarny i dziki, trafia się w lasach roskich tylko jako przechodnia.

J. Sobertin.

Z Prus Zachodnich.

Waplewo, 17 lipca.

W okolicy naszej, to jest w Malborskiej i Chełmińskiej ziemi, ani ulewnych deszczów, ani zalewów nie było. Lęgi kuropatw i bażantów pomyślne wydały rezultaty: zajęcy będzie sporo, bo marcowe się uchowały, wogóle widoki polowania na drobną zwierzynę już dawno nie były tak obiecujące, jak tego roku.

hr. A. Sierakowski.

HYGIENA MYŚLISTWA.

(Ciąg dalszy).

Jak dawniej rozróżniano pańskie i szlacheckie polowanie, *caeteris paribus*, i dziś to istnieje, z tą jednak różnicą, że dziś stanowi ilość posiadanej mamony o tem, jaką kto ma zwierzynę. A że „gromada to wielki człowiek", więc i w celach myśliwskich łączą się ludzie z sobą, tworząc towarzystwa, kółka i kółeczka, tą myślą skojarzone, by wspólnie chwile wolne przebyć na świeżem powietrzu, z bronią w ręku i z nadzieją okazania swej sprawności w używaniu tej broni i nadzieją zdobycia pięknego łupu. W ten sposób i mniej zamożny ma sposobność spotkania i grubego zwierza.

Myślistwo zdemokratyzowało się. Z wyjątkiem jednego żubra, przechowywanego w kilku miejscowościach Europy, jako zwierzę prawie szczątkowe, a więc przez to samo specyalnemi prawami ochraniane, inna zwierzyna „za pieniądze" dla każdego jest dostępna. Tembardziej musimy pomówić o różnych rodzajach polowania. Pomimo to nie będę pisał osobno o polowaniu z podjazdu lub wytycznem, z naganką lub kotłem, z wyżłem w polu lub na błocie, na głuszce lub cietrzewie i słonki, ale podzielę je na parę grup. O wyborze dla prawdziwego myśliwego tego lub owego rodzaju polowania pisać też nie będę, to nie moja rola— byłoby to hygieną umysłu —a nie „hygieną sportu".

Gonienie psami zwierza, tak zwane polowania *par force*, a nawet z chartami, tak rzadko i w niewielu okolicach są w naszym kraju uprawiane, że je pozwalam sobie pominąć. Zresztą, to, coby w tym względzie o hygienie można było powiedzieć, zostało uwzględnione w rozdziale o jeździe konnej. Nas interesuje tylko polowanie z bronią palną. Tu musimy przedewszystkiem pamiętać o tem, że mamy w ręku broń, która nietylko dla zwierza, ale i dla nas samych lub naszego towarzysza, wreszcie dla naganiacza, może być niebezpieczną. Jak się obchodzić z bronią, nie hygiena nas uczyć będzie. Wspominam o tem tylko mimochodem, tembardziej, że już z pod pióra znanego pisarza-myśliwego, p. Jana Sztolcmana, wyszedł odpowiedni „Katechizm", który każdemu polującemu powinien być znany.

Polowanie ze strzelbą bywa więc przedewszystkiem letnie i jesienne— na ptactwo, potem jesienne i zimowe na czworonogi. Polowanie na ptactwo odbywa się albo na „mokrem polu" i z czółna (bekasy i kaczki), albo na suchem (kuropatwy, przepiórki). Od dziecka, każdego z nas przestrzegano, byśmy nóg nie zamoczyli, ale i z własnego doświadczenia wiemy o tem, że jednemu zaszkodzi, a drugi żartuje sobie z tego, choć i ten nieraz się „doigra". To kataru dostanie, to jakiegoś darcia w nogach. A im chłodniej na dworze, im woda, po której brodzimy, chłodniejsza, tem łatwiej narazić się na te dolegliwości. Stąd wniosek pierwszy: na błocie wolno polować tylko osobom zupełnie zdrowym, niemającym w sobie usposobienia do chorób piersiowych, do częstych cierpień gardła i nosa, reumatyzmu, niechorym na nerki lub serce.

Do tej kategoryi polowań należą także wiosenne toki cietrzewi i głuszców oraz ciąg słonek. Prawdziwemu myśliwemu dają one może więcej dodatnich wrażeń, niż każde inne, ale wieczór lub noc spędzać w lesie przy nizkiej, nocnej temperaturze, będąc niewyspanym, nie każdemu wolno.

Polowanie na suchem polu jest niezaprzeczenie zdrowsze.

W piękny dzień jesienny, przez wrzesień i październik, może sobie pozwolić na polowanie z wyżłem nawet niezbyt zdrowy człowiek, a gdy patrzy na piękną pracę swego Marsa lub Dyany, gdy po kilku godzinach, w polu spędzonych nieforsownie, będzie miał w dodatku dobry rozkład, to o ile nie będzie chodził nadmiernie, i „ciału" nie zaszkodzi, i „nerwom" da wytchnienie. Ale trzeba umieć zachować miarę.

Kto przez kilka tygodni będzie chodził po całych dniach za kuropatwami, ten także niech się nie dziwi, że zamiast pożytku, szkodę zdrowiu swemu przyniesie. Ruch miarowy nie wyczerpujący, przy odpowiedniem ubraniu i pomyślnym stanie powietrza, jest nietylko hygienicznym ale niejednokrotnie bywa poważnym czynnikiem leczniczym.

Polowania zimowe inny mają charakter.

W zimie często jesteśmy narażeni na gorsze wpływy powietrzne— wiatr, mgłę, śnieg, a nawet niestety, często i deszcz. Po za polowaniem w kotły, coraz częściej u nas uprawianem, przy którem warunki hygieniczne nie tak wiele różnią się od tych, które powinniśmy mieć na uwadze, gdy wybieramy się na polowanie z wyżłem późną jesienią, mamy polowania z obławą. Nieraz i godzinę stać musimy na stanowisku, często bez ruchu, by nie spłoszyć zwierza i sobie i sąsiadowi. Przy paru stopniach mrozu jeszcze łatwo wytrzymać, ale niżej dziesięciu trzeba już być przyzwyczajonym do tego. Jużby się chciało i nogą o nogę stukać, by je rozgrzać, i ręce rozetrzeć, a nie wolno, bo możemy spłoszyć dzika, lisa, rogacza, a choćby nawet zająca, i jeszcze w dodatku sąsiad mieć będzie do nas urazę.

Osoby małokrwiste, osłabione, trudniej od innych

znoszą zimno, im więc nie radziłbym jechać na polowanie w wielki mróz.

Kto te słowa przeczyta, pewnie powie sobie: „ależ ja to wszystko wiem bez hygieny sportu.“ Nie przeczę, ale chciałem tylko to i owo przypomnieć. Zacząłem od pobieżnej bardzo charakterystyki polowań, teraz przejdę do wyliczenia paru wymagań hygieny, których nie wolno nie znać żadnemu myśliwemu. Przecie zdrowie szanować każe nam zdrowy rozsądek i dobrze zrozumiany interes.

Hygiena wymaga od myśliwego przedewszystkiem, żeby się odpowiednio ubrał. Jest to bardzo ważne nawet na polowaniach w ciepłej porze roku, na polowaniach na ptactwo. Trochę forsowniejszy ruch wzmaga działalność serca—a między innemi skutkiem tego jest i wzmożona transpiracya— pocimy się. Bielizna płócienna lub nawet bawełniana, gdy od ciała odstanie, szybko się ochładza i przy ponownem zetknięciu ze skórą sprawia nam bardzo przykre, a nawet nieraz szkodliwe uczucie zimna. Najlepszą dla myśliwego jest bielizna wełniana, zastosowana do pory roku — latem cieńsza, jesienią i zimą grubsza — i to się stosuje do wszelkich rodzajów polowania. Ubranie dolne również może być wełniane, a po polowaniu błotnem, gdy jest zamoczone, powinno być zmienione zaraz po zejściu z pola, szczególniej, gdy wracamy do domu końmi. Gdy idziemy pieszo, nie jest to tak konieczne. Jeżeli jesteśmy „zgrzani“ nie należy się przebierać na powietrzu nim odpoczniemy. Ubranie nóg powinno być wygodne, a lekkie. Ciężkie obuwie, owe buty z cholewami, straciły i słusznie mir między myśliwymi, z wyjątkiem pewnych rodzajów polowania (np. na głuszce). Kamasz sznurowany, z dobrego juchtu, zmiękczony odpowiedniem smarowidłem najzupełniej wystarczy. Na polowaniu „błotnem“ nie można być suchym, a na to, by polować na błocie przy zbyt nizkiej temperaturze, pozwala sobie albo bardzo nieostrożny, albo bardzo zdrowy myśliwy.

(Dok. nast.)

PSY OSTROUCHE.

Chociaż w grupie psów ostrouchych nie znajdujemy ani jednej rasy tak uszlachetnionej i wyspecyalizowanej, jak w poprzednio opisanych grupach (psów wisłouchych i chartów), jednakże z niektórych względów może ona być postawioną na pierwszem miejscu. Rozpatrzmy po kolei te prawa do pierwszeństwa.

W nowszej epoce kamiennej towarzyszyły już ówczesnemu człowiekowi psy średniej wielkości, prawdopodobnie przodkowie obecnych psów ostrouchych, gdyż dopiero w epoce bronzowej, obok kości poprzednich, znajdowane są kości psów znacznie większych, prawdopodobnych protoplastów dużych psów pasterskich, a w epoce lodowej i kości psów bardzo wielkich, niewątpliwych przodków późniejszych molossów i obecnych dogów. Ponieważ psy wisłouche i charty pojawiły się w Europie dopiero w najnowszej epoce, można więc przyjąć prawie za pewnik, że bezpośredni protoplaści obecnych psów ostrouchych, byli pierwszymi towarzyszami człowieka, przynajmniej w Europie, gdyż badania geologiczne w innych częściach świata, dotąd bardzo niedokładne, nie dają w tej kwestyi żadnych wskazówek.

Europejczycy, odkrywszy Amerykę, znaleźli na niej psy domowe, pozbawione zdolności szczekania, i dlatego początkowo nie uznawali ich nawet za psy. Z tych pierwotnych psów amerykańskich ocalały i przetrwały do naszych czasów tylko dwie rasy, to jest psy eskimosów i psy Indyan-Zajęcy, włóczących się w okolicach rzeki Mackenzie. Obydwie te rasy są ostrouche i bardzo zbliżone do ras i odmian północnej Azyi i Europy.

W Australii Europejczycy znaleźli psa zupełnie zdziczałego, a czasami włóczącego się w stanie półoswojonym za bandami krajowców i nazywanego przez nich Dingo. Gatunek ten jest albo zupełnie jednego pochodzenia z psami ostrouchemi starego lądu, albo bardzo blizko z niemi spokrewniony*). Nareszcie na

*) Patrz „Łowca polskiego“ z r. 1899, № 1 i 4.

WYSTAWA PSÓW.



„Cleo“, fox-terrierka p. Saengera. (Medal srebrny).

starym lądzie grupa ta jest najliczniej reprezentowaną przez wiele ras zachowanych we względnej czystości, oraz przez całą masę psów bez określonej rasy, lecz mających przewagę krwi psów ostrouchych. Tak więc, przedstawiciele tej grupy nietylko przed wszelkiemi innemi rodzajami zwierząt domowych zaczęli służyć człowiekowi; nietylko od niepamiętnych czasów wraz z człowiekiem rozprzestrzeniali się we wszystkich pięciu częściach świata, ale utrzymali i dotąd stanowczą przewagę tak co do liczby, jak i co do obszarów, zamieszkałych przez nich.

Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na pożytek, jaki psy ostrouche przynoszą człowiekowi, to musimy przyznać, że i pod tym względem stoją one na pierwszem miejscu. W strefach umiarkowanych i gorących, człowiek mógłby ostatecznie żyć bez psa, a w krajach o wysokiej kulturze usługi jego coraz więcej maleją. Lecz w zimnych, północnych strefach egzystencya człowieka bez towarzystwa psa byłaby wprost niemożliwą, a towarzyszami tymi są wyłącznie przedstawiciele ostrouchej grupy. Jak wiadomo, służą one tam nietylko do stróżowania i myślistwa, ale i do zaprzęgu. W Europie i innych częściach świata, które przyjęły europejską kulturę, psy ostrouche używane bywają tylko do stróżowania dobytku i ochraniania stad; z łowiectwa wyrugowane zostały przez inne rasy.

Czy rozpowszechnione po całym obszarze kuli ziemskiej, psy ostrouche pochodzą od jednego lub też kilku gatunków dzikich, obecnie niepodobna rozstrzygnąć. Również pierwotna ich ojczyzna, wobec zmienionej w szeregu tak długich wieków konfiguracyi lądów i wód, pozostanie nazawsze nieznaną. Wszystkie jednak psy ostrouche mają tak wiele cech wspólnych, że połączenie ich w jedną wielką grupę zdaje się najwłaściwszem. Wspólne te cechy są następujące:

Wzrost średni; budowa proporcyonalna i dość lekka; głowa, czy to w profilu, czy obserwowana z góry, trójkątna, to jest zwężająca się ku nosowi; uszy średniej wielkości, stojące, bardzo ruchliwe; ogon silnie zakręcony nagrzbiet; szerść na łbach, mordach, uszach i nogach zawsze krótka, na szyi, grzbiecie i bokach krótka, albo mniej lub więcej długa, przyczem zwykle bywa dłuższa na szyi i karku, na ogonie mniej lub więcej puszysta, lecz nigdy nie tworzy pióra. Ogólnym wyglądem psy ostrouche, bez porównania więcej od psów domowych innych grup, są zbliżone do dzikich gatunków, jak buansu, dib, wilki, szakale i inne, co dało powód do mniemania, że pochodzą one wprost od tych dzikich gatunków, albo powstały przez krzyżowanie z niemi. Bezzasadność tego mniemania starałem się dowieść w części niniejszego studyum, traktującej o pochodzeniu psów domowych („Łowiec Polski" z r. 1899 Nr. 4). Tu przytoczę jeszcze parę uwag, wykazujących słabość dowodów, przytaczanych przez zwolenników powyższej hypotezy. Niektórzy z podróżników twierdzą niby to na mocy zeznań Eskimosów, że ci ostatni dla poprawienia rasy swych psów przywiązują swe grzejące się suki w lesie, ażeby tam mogły wiązać się z wilkami. Znanych i stwierdzonych jest kilka wypadków dobrowolnego łączenia się wilczyc, żyjących dziko, z psami domowemi, lecz zawsze miało to miejsce w okolicach, gdzie wilki prawie doszczętnie wytępiono, i gdzie wilczyca, nie mogąc znaleźć małżonka swej rasy, a pobudzana głosem natury, musiała szukać zastępcy w pośród wrogich jej psów domowych. Nieznanym jest jednak ani jeden wypadek dobrowolnego łączenia się na swobodzie suki domowej z wilkiem. Napewno można twierdzić, że suka, przywiązana w lesie i odnaleziona przez wilki, byłaby przez nie zjedzona, a nie zapłodniona. Jeżeli Eskimosi rzeczywiście przywiązują grzejące się suki w miejscu ustronnem i suki te mają następnie szczenięta, to daleko prawdopodobniejszem jest, że bywają one zapłodnione przez psy eskimoskie, które je łatwo po tropie odszukać mogą. Żaden bowiem Eskimos nie mógł być naocznym świadkiem połączenia się swej uwiązanej suki z wilkiem.

Gdyby nawet podobne połączenie, w bardzo wyjątkowych i rzadkich wypadkach, mogło mieć miejsce, to i tak nie wpłynęłoby ono na polepszenie rasy psów eskimoskich, ani nie mogłoby służyć, jako dowód pochodzenia tych psów od wilków, gdyż mieszańce psa domowego i wilka, podług dotychczasowych doświadczeń, tracą płodność najdalej w trzeciem pokoleniu.

Inny znów podróżnik opowiada o podobieństwie

WYSTAWA PSÓW



„Piczike", fox-terrierka ostrowłosa ks. Sewer.-Czetwiertyńskiej. (Medal złoty).

psów Indyan Zajęcy do lisów i jako dowód przytacza następujący wypadek: jeden z Indyan, w czasie podróży, zabił towarzyszącego wyprawie psa, upiekł go i zjadł; strofowany następnie za to, tłómaczył się, że złudziło go podobieństwo tego psa do lisa. Tymczasem psy Indyan-Zajęcy, z wyjątkiem rudej maści, zupełnie do lisów nie są podobne, a raczej pomiędzy północnemi europejskiemi i azyatyckiemi psami ostrouchemi można znaleźć wiele okazów bardzo zbliżonych do psów Indyan-Zajęcy. Trudno także przypuścić, ażeby bystrooki Indyanin mógł tak niefortunnie pomylić się; daleko prawdopodobniej przypuścić można, że powodowany obżarstwem, zabił psa, wiedząc dobrze, jakie zwierzę zabija, a następnie wykłamywał się i drwił w duszy z łatwowierności bladolicego człowieka.

Na takich to błahych świadectwach spoczywa hypoteza o pochodzeniu, przynajmniej częściowem, psów ostrouchych od wilków, szakali lub lisów. Ponieważ rzeczywiście ich pochodzenie wyświetlić się nie daje wobec niedostatecznych danych, dostarczonych dotąd przez wykopane szczątki ubiegłych epok, przechodzę przeto, po tym koniecznym wstępie, do opisu żyjących obecnie i mniej lub więcej ustalonych ras psów ostrouchych.

August Szolcman.

Prochy małodymne

przez

Władysława Słonczyńskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Biorąc następnie przy tymże ładunku prochów: „Schultze“ i „E. C.“, ω=3, 15 g., ładunek śrótu, przyjęty przez Brounsa przy badaniu „Liszewa“ i „Sokola“ π = 37,33 g, ciśnienia prochów angielskich wyniosły P = 725 i 850 atmosfer.

Ciśnienia takie bez szkody w hakach i zamknięciach może wytrzymać jedynie wybornie zrobiona broń, chociaż zgodzić się nie mogę w żadnym razie na oparcie się na ładunku 37,33 gr. prochu, jako zbyt wielkim przy normalnie przyjętej wadze broni 12° kal, między 3,10 i 3,20 kilo ($7^1/_2$ — 8 funtów), przyczem Instytut Niemiecki jako maksymalny ładunek śrótu uważa 36 gramów.

Znaczne podniesienie się ciśnień daje nam w tym wypadku prostą wskazówkę, jak dalece czułe są prochy ziarniste *o małej ścisłości* na zwiększanie się oporu przez powiększanie wagi ładunka śrótu.

Teoretyczne objaśnienie tego zjawiska zrozumiałem nam się staje na podstawie zasad, wyłożonych w pierwszej części tej pracy, przyczem zwiększenie wagi pocisku (w danym wypadku śrótu) może być uważane jako zwiększenie ścisłości samego ładunka (uszczelnienia); a zatem w pierwszej chwili po zapaleniu się prochu, spalanie się tegoż będzie się odbywało na mniejszej przestrzeni, co koniecznie wywołać musi zwiększenie się ciśnienia. Podany powyżej przykład potwierdza doskonale postawioną przez nas zasadę.

Zestawiając wyniki, otrzymane przy badaniu angielskich *ziarnistych* prochów, tak przez Instytut, jak i przez Brounsa, musimy dojść do wniosku, że działanie prochów tych o małej ścisłości odznacza się wielką różnorodnością i brakiem jednostajności w rozwijaniu ciśnień, a dlatego używanie ich do strzelania ze śrótówek nie można uznawać za bezpieczne.

Widzieliśmy, że podstawowy ładunek wymienionych prochów: „Shultze“ i „E. C.“ wagi 42 grains (2,72 grama) podług prób Instytutu rozwinął ciśnienie 920 atmosfer, co uważa się stanowczo za niebezpieczne dla broni.

Brouns robił próby z wymienionemi prochami angielskiemi w gilzach Torbeka z kapiszonem francuskim Gevelota, przy ładunku 2,84 g. dla „Schultze“ i 2,75 dla „E. C.“ — śrótu zaś 33 i 37,33 grama. Wynik był nadspodziewanie korzystny i zupełnie przewidziany:

	ω	π	v	p
„Schultze“	2,84 g.	32 g.	307	507
„	„	37,33 g.	293	550
„E. C.“	2,75 g.	32 g.	298	530
„	„	37,33 g.	281	600

Okazuje się z tej tablicy, że ładunki „Schultze“ 2,84 g. i „E. C.,“ 2,75 g., dając przy ładunku 33 gr. śrótu dostateczną w praktyce szybkość początkową + 300 m/sec, rozwijają ciśnienia 507 i 530 atmosfer, co leży w granicach dopuszczalnych dla broni dobrze wykończonych. Rożnice między najmniejszemi i największemi wielkościami szybkości i ciśnień okazały się nieznaczne, co dowodzi jednostajności działania tych prochów w przytoczonych warunkach. Na proch kładziono kartonik, na to przybitkę filcową, tłuszczoną cleyowską, średnicy lufy w najszerszem miejscu, na śrót kartonik.

Przy użyciu większego ładunka śrótu 37,33 gr,, szybkości początkowe, jak widzimy, *spadły*, ciśnienia zaś znacznie się *podniosły*.

W dalszym ciągu prób, użyto przybitek o milimetr większej średnicy, fabryki Kazicyna; przybitki większej średnicy wywołały powiększenie szybkości, ale też i powiększenie ciśnień. Gilzy w obu próbach były zakręcone na 5 milimetrów, przyczem przekonano się, że *zakręcanie gilz nie ma wpływu ani na szybkości początkowe, ani na ciśnienia*; stopień wilgoci obu prochów oznaczony był na 1,5%.

Porównywając ogół prób, dokonanych z prochami „Schultze“ i „E. C.“ dochodzimy do wniosku, że balistyczne własności pierwszego wyższe są od drugiego; przy jednakowych szybkościach, jakie nadają obydwa prochy ładunkowi śrótu jednakowej wagi, ciśnienia, jakie rozwija proch „Schultze“, są niższe, jednostajność wyników jest większa, i można na mocy tego twierdzić stanowczo, że proch „Shultze“ jest lepszy i bezpieczniejszy od prochu „E. C.“

Lepsze balistyczne zalety prochu „Schultze“ pochodzą przeważnie od dłuższego obrabiania tegoż przez rozpuszczalnik; grubość słoju żelatynowanego na ziarnie prochu „Schultze“ jest większa, niż w prochu „E. C.“, wskutek czego ziarnka pierwszego są twardsze i trudniej rozbijają się pod działaniem tworzących się przy spalaniu prochu, gazów.

Powierzchnia płonącego, nierozdrobnionego ziarnka prochu „Schultze“ mniejsze jest od powierzchni prochu „E. C“, a wskutek tego tworzenie się gazów prochowych w prochu Schultze odbywa się wolniej, a zatem ciśnienia, jakie rozwija, będą niższe. Ziarna prochu „E. C.“ bardzo słabo są obrabiane rozpuszczalnikiem, i bez trudu gnieść się dają w palcach; warstwy żelatynującej na ziarnku dostrzedz prawie niepodobna.

Brouns dowodzi, że kapiszon Gevelota jest właściwszy dla prochu „Schultze“, i podaje przy następujących wagach prochu i śrótu i użyciu gilz Torbeka następujące wyniki:

ω	π	v_{15}	p
2,84	34,66	312	510
2,75	32	310	

uważa jednak te ładunki za maksymalne. Gilzy używano nowe i używane, wpływ jednak używanych odbił się niekorzystnie na wynikach balistycznych: w nowych gilzach wskutek zaparcia się przybitki prochowej w ściankach gilzy, zwiększa się uszczelnienie, co też zaraz wpływa na powiększenie się ciśnień. Zjawiska tego nie zauważymy przy prochach płatkowa-

ych (Liszew, Sokół); prochy o wielkiej ścisłości nie są wrażliwe na to, czy gilza jest nowa, czy też kilka razy używana — byle tylko uszczelnienie było doskonałe.

Wykazane tutaj rezultaty Brounsa, zgodne najzupełniej z rezultatami podanemi przez Instytut, stoją w sprzeczności znacznej z wynikami redakcyi „Fielda"; różnice znajdujemy wielkie przy oznaczeniu wysokości ciśnień, pomimo jednakowego sposobu robienia ładunków.

Wrażliwość prochów o małej ścisłości (ziarnistych) na najmniejsze różnice w przygotowaniu ładunka, różnorodność działania tychże przy zmianie stopnia ich wilgotności (podwyższenie ciśnień przy suchem, gorącem, a zmniejszenie szybkości przy wilgotnem powietrzu), stawiają prochy angielskie „Schultze" i „E. C." o wiele niżej od płatkowatych miejscowych: Liszewa i Sokoła. Obydwą angielskie prochy znacznie zanieczyszczają lufy po wystrzale: a pochodzi to częścią z niespalonych w zupełności ziarn prochu, jako też z nalotu, tworzącego się przy rozkładzie saletr: barytowej i potażowej. Nalot saletrowy, osadzający się na lufach po strzale temi prochami, suchszy jest od nalotu czarnego prochu i daje się usunąć łatwiej, jednak znacznie trudniej od nalotu miejscowych prochów — w prochach miejscowych zawartość saletry wynosi około 2%, podczas gdy proch «Schultze» zawiera 34, a «E. C.» 44% saletry. *Im więcej stałych produktów daje proch przy spalaniu, tem więcej dymu towarzyszy wystrzałowi:* prochy angielskie dają o wiele więcej dymu, aniżeli „Liszew" i „Sokół".

Przystępujemy teraz do samej *metody badania prochu „Liszewa" podług S. A. Brounsa.* Próby rozpoczęto w 1897 roku. Chcąc mieć możność wypróbowania prochu, przygotowanego w różnych odstępach czasu, kupowano proch w ilości dwóch funtów, w sześciu partyach, każdą z innej miejscowości. Próby trwały półtora roku, a zakończone zostały w końcu 1898 roku. Określenie balistycznych własności każdej partyi prochu określone było oddzielnie, przy jednym i tym samym sposobie robienia ładunka. Wielkość naboju prochu oznaczona była dla broni 12 kalibru tak, żeby ciśnienia gazów prochowych nie przechodziły średnio 450 — 500 atmosfer, to jest, nie przekraczały ciśnień rozwijanych przez proch czarny. Podstawowym ładunkiem prochu „Liszewa" dla 12 kalibru, uznaje Brouns wagę 2,088 gramów, opierając się, co prawda, na ładunku śrótu wagi 37,33 grama.

Ponieważ na ten ładunek śrótu zgodzić się nie mogę, nie mogę zatem przyjąć i wskazanego ładunka prochu. Brouns próby odbywał z bronią wagi $8^1/_2$ funta, nic więc dziwnego, że wielkości wag ładunków prochu i śrótu wydają nam się na razie monstrualne. Ale to nas nic nie obchodzi w tej chwili, gdyż do określenia i ustanowienia wagi ładunka dla broni 12-go kalibru dość nam jeszcze daleko; my mamy dawno już swoje wytyczne dane: swoją normalną broń, ($7^1/_2$ — $7^3/_4$ funta), normalny ładunek śrótu (34,5 grama), i do tych danych oznaczymy w swoim czasie właściwy ładunek prochu, tak „Liszewa", jak i „Sokoła."

Małodymne prochy wielkiej ścisłości, których najlepszemi typami są wymienione prochy miejscowe, potrzebują dla swego zapalenia silnych kapiszonów. Najlepszym kapiszonem dla użytku papierowych gilz jest zakryty kapiszon Gévélota, a specyalne francuskie gilzy Gévélot (Société Française des Munitions, Paris) były długo jedynemi, z jakich strzelano prochami: „Liszewa" i „Sokoła." Kilka lat temu Torbek w Moskwie pierwszy zaczął wyrabiać gilzy papierowe z kapiszonem Gévelota. Porównywając gilzy Torbeka z francuskiemi, przyszedł Brouns do wniosku, że pierwsze są wyższe; rurka tekturowa torbekowska mocniejsza jest od francuskiej, która prędzej się mnie i przepala, nadto wyjmowanie wystrzelanych kapiszonów i zmiana ich na nowe o wiele jest łatwiejsze w gilzach krajowych. Za to metalowa część gilzy wyżej stoi we francuskim wyrobie.

Brouns robił próby z gilzami Torbeka, chociaż próbował i Bachmana, Eley'a, z większym kapiszonem dla prochów „Schultze" i „E. C." i torbekowskie z kapiszonem Unterdorfera.

Po wyjaśnieniu właściwości różnych gatunków gilz, albo raczej kapiszonów, przeprowadzano szereg prób dla określenia wpływu na szybkości początkowe i ciśnienia gazów: różnych sposobów robienia ładunków, a mianowicie: zakręcenia gilzy, ścisłości uszczelnienia, oraz różnych gatunków przybitek prochowych — co jest wielkiej wagi przy robieniu ładunków prochem małodymnym. Oddzielną seryę doświadczeń przeprowadzono celem wyjaśnienia tych zmian balistycznych właściwości prochu, które pozostają w zależności od warunków przechowywania gotowych ładunków w różnych warunkach.

Określono zależność szybkości i ciśnień od wielkości ładunków prochu i śrótu; znalezioną zależność określono za pomocą krzywych, a prócz tego wyprowadzono dla niej formuły, dające możność drogą wyliczenia, z zupełną dokładnością określić wielkości i początkowych szybkości i ciśnień gazów prochowych. Przeprowadzono doświadczenia, dzięki którym można wyliczyć ciśnienia gazów w każdym punkcie lufy.

Wszystkie wymienione próby, odbywał Brouns z bronią 12 kalibru; dla broni 16 i 20 kalibru określał tylko szybkości początkowe przy różnych ładunkach.

Nadto określono szybkości i ciśnienia, strzelając kulami okrągłemi z broni 12 kalibru i kulami podłużnemi ze sztucerów.

(D. c. n.)

GAWĘDY STAREGO MYŚLIWEGO.

V.

Wychowywałem się w jednym z majątków, położonych nad rzeką Pilicą, w którym oprócz znacznej przestrzeni pól, łąk i różnego rodzaju innych użytków i nieużytków, znajdowało się przeszło sto pięćdziesiąt włók dziewiczego lasu, który, łącząc się z lasami majątków sąsiednich, stanowił wraz z niemi ogromny obszar leśny, tysiące włók wynoszący. Las ten był więc częścią pewnego rodzaju ogromnej, jak wówczas, puszczy, w której, oprócz cietrzewi, jarząbków i głuszców, roiła się wszelkiego rodzaju inna zwierzyna; poczynając od dzików, ogromne stada sarn i jeleni spotykało się na każdym niemal kroku, a wieczorna muzyka wyjących wilków rozlegała się szeroko po całej okolicy.

Patrząc na liczne trofea, zdobywane na każdem większem polowaniu; słysząc o licznych na tych łowach wypadkach, przytaczanych z humorem i jowialnością, właściwemi naszym tylko myśliwym; lubując się w różnego rodzaju opowiadaniach owych starych myśliwych, co to większą część swego życia przepędzili ze strzelbą w ręku, a myślistwo czcili prawie jako jedyny kult, godny prawdziwego mężczyzny, — dusza moja rwała się do strzelby i polowania od lat najmłodszych i marzyło się bezustannie o tej szczęśliwej chwili, w której wolno mi będzie z bronią w ręku spotać się oko w oko chociażby z najniebezpieczniejszym zwierzem, a jakimś bohaterskim czynem zdobyć sobie prawo do tytułu myśliwego. Takie to porywy i marzenia przechodziliśmy w młodości prawdopodobnie wszyscy, dziś już starzy albo dojrzali myśliwi, a mamy tem większe prawo czcić je zawsze pamięcią i wspomnieniem, że w tych porywach i marzeniach tkwił duży pierwiastek prawdziwej szlachetności, która stanowi powszechną prawie cechę miłośników myślistwa i myśliwego sportu.

Pierwsze kroki w zawodzie myśliwskim stawiałem pod kierunkiem mego ojca, doskonałego strzelca

i myśliwego; towarzyszyłem mu często na polowaniu w charakterze pomocnika do noszenia zabitej zwierzyny; każdy strzał witałem z entuzyazmem, bo prawie zawsze był dobry, a w młodem mem sercu łączyły się miłość synowska z uwielbieniem dla znakomitego strzelca i myśliwego. Widziało się w tym ojcu nietylko ukochanego opiekuna, ale zarazem i idealnego jakiegoś bohatera, którego pragnęło się naśladować. To też z rozrzewnieniem, zrozumiałem dla wszystkich myśliwych, przypominam sobie tę radosną i szczęśliwą chwilę, w której w dzień urodzin, otrzymałem w prezencie prawdziwą dubeltówkę, odpowiednie przybory myśliwskie, prawo do rozpoczęcia polowania pod okiem i kierunkiem jednego z miejscowych gajowych. A był to nieznany już dziś typ starego sługi-przyjaciela, który uważał paniczów za swoich pupilów, karcił ich nieraz, ale kochał, wpajanie w nich zamiłowania do myślistwa poczytywał za największy swój obowiązek, a zamiłowanie to uważał jako jedną z tych największych cnót obywatelskich, bez których ani prawdziwym panem i ziemianinem, ani nawet prawdziwym człowiekiem być nie można.

Mentor mój, Maciek Świstak, służył w młodości w legionach i niejedną odbył w nich kampanię, znał większą część Europy, umiał trochę z mazurska po francusku, Francuzów uważał za braci i towarzyszów broni, Niemcami gardził, jako wrogami, których bije się tylko, ale nie zwycięża, a swój kraj i swoją wioskę rodzinną, pełne jak mówił, kwiecia złotych kłosów i odwiecznych borów, kochał całem sercem, i prawie za raj ziemski uważał. Szanowany przez włościan jako wojak i bywalec, średniego wzrostu, kościsty, ze wzrokiem bystrym, surowym, ale sympatycznym, Maciej mój należał do rzędu tych rzadkich już dziś wiarusów—myśliwych, co to nie męczą się nigdy, dzień i noc gotowi są przepędzić w knici dla wytropienia i upolowania jakiego zwierza, a zwyczaje każdego rodzaju zwierzyny i jej siedliska znają, jak to mówią, na wylot.

Widząc wielki mój zapał do polowania, Maciej polubił mię od razu, stale nazywał „kochanym paniczkiem" i odtąd myślał tylko o tem, jakby wyciągnąć mnie na jakieś łowy, narażając się nieraz z tego powodu na surowe admonicye ze strony poczciwej mojej matki. A admonicye te, które zwykle otrzymywaliśmy obydwa jednocześnie, przyjmował Maciej z pokorą, zerkając na mnie znacząco z boku, jakby dla dodania mi odwagi, a całując w rękę moją matkę, dodawał zwykle z poufałością starego sługi:

— Niech tam nie gniewa się wielmożna pani, bo przecież to krew szlachecka, nie do kądzieli i nie do fartucha stworzona.

Zajścia tego rodzaju kończyły się zawsze poczęstunkiem poczciwego Macieja, a wnet potem stawała między nami nowa umowa, jakby znów wyrwać się z domu i podążyć na kaczki, bekasy i dubelty to jest właśnie jedno z tych polowań, z którego wracało się zawsze zmoczonym i zabłoconym po szyję i które wywoływało prawdziwą rozpacz kochanej mojej matki. Wprawdzie na te błota zachodziło się niby przypadkiem, przypadkiem spostrzegało się zasiadające na tych błotach, ogromne stada kaczek, prało się i suszyło na słońcu całe odzienie przed powrotem do domu, wchodziło się do domu jakiemiś bocznemi drzwiami, ażeby uniknąć spotkania, przed zmianą odzienia, ale wszystkie te ostrożności udawały się nie zawsze, mogła czasami nastąpić burza ostrzejsza, to też Maciej mój w takiem przewidywaniu, zmykał zwykle cichaczem do swej chałupy i nie pokazywał się we dworze do dnia następnego, chociaż i wówczas nie rozstawaliśmy się prawie nigdy bez umówienia się o nową wycieczkę myśliwską.

W chwili rozpoczynającej się mojej karyery myśliwskiej, zdarzyło się zerwanie przez wodę grobli i upustów na ogromnym, bo przeszło pięcio-włókowym stawie, porośniętym przeważnie sitowiem, trzciną i tatarakiem, a stanowiącym zawsze wygodne siedlisko dla dzikich kaczek, bekasów, dubeltów i wszelkiego rodzaju wodnego i błotnego ptactwa. Staw ten obecnie uporządkowany i zużytkowany na gospodarstwo rybne, nigdy poprzednio i prawdopodobnie od początku swego istnienia, oczyszczany nie był, po zerwaniu więc upustów i krępujących go grobli, na całej ogromnej przestrzeni stawu, potworzyło się w zagłębieniach mnóstwo mniejszych lub większych sadzawek, a na miejscach wyższych wyłoniły się grube pokłady tłustego i przez całe wieki nagromadzanego szlamu, który też wkrótce pokrywać się zaczął roślinnością. W ten sposób wytworzyło się obszerne, wygodne i niezmiernie żyzne siedlisko dla błotnego ptactwa; to też sadzawki objęły w posiadanie dzikie kaczki, kurki wodne i łyski, a na szlamach rozsiadły się bekasy, dubelty i różnego rodzaju kuligi.

Trzeba było widzieć na własne oczy, ażeby stworzyć sobie wyobrażenie o ogromnej ilości nagromadzonego na stawie, wodnego i błotnego ptactwa, które, jakby na dane sobie hasło, zleciało się tu z innych części kraju na wspólne zamieszkanie i biesiadę. Zaroiła się więc zwierzyna na całej przestrzeni stawu; kwakanie kaczek oraz śpiew i głosy innego ptactwa rozlegały się wprost ogłuszająco w pewnych porach dnia i nocy, tworząc zawsze ową miłą i nigdy niezapomnianą przez myśliwego, harmonię; na każdym kroku spotykało się liczną zwierzynę, a po każdym wystrzale tysiące kaczek, bekasów i dubeltów zrywało się do lotu naokoło myśliwego, łając go swym krzykiem za naruszenie im spokoju i najście domowego ich ogniska.

Podobne tłumy zwierzyny znaleźć tylko można na polach i błotach Syberyi, o czem pomówimy później; to też rozpoczynając w młodości zawód swój myśliwski, znalazłem się odrazu w warunkach niezmiernie dogodnych, bo dających mi możność nietylko szybkiego doskonalenia się w strzelaniu, ale zarazem i możność zaspokojenia owej miłości własnej każdego myśliwego, która cierpi lub tryumfuje w miarę mniejszej lub też większej ilości zabitej zwierzyny. A przyznaję się otwarcie, że i dziś jeszcze, chociaż bardzo już staremu myśliwemu, wrażenia i uczucia takie obce mi nie są i odczuwam je i dziś jeszcze po każdem polowaniu; a muszą to być jednakże uczucia i wrażenia bardzo silne i naturalne, skoro nawet zimniejsza zwykle starość, pokonać ich nie może.

Wśród licznych, drobniejszych przygód, jakich doświadczyło się w pierwszych chwilach mojego myślistwa, przytrafiło się i jedna z nich, o tyle poważniejsza, że przez czas dłuższy wypadało utrzymać ją w sekrecie przed rodzicami, ażeby nie stracić udzielonej mi swobody polowania nawet pod sterem i opieką starego Macieja.

Wybraliśmy się na jarząbki, które Maciej doskonale umiał wabić na sporządzonym przez niego wabiku. Do lasu weszliśmy szeroką drogą, obrośniętą ze stron obu gęstą, młodą choiną. Przeszliśmy kilkaset kroków, gdy w lesie rozległ się stuk jakby od rąbania drzewa siekierą. Maciej zatrzymał się, zalecił mi na niego zaczekać, zwrócił się w stronę dochodzącego do nas stuku, i ukrył się w gąszczu leśnym.

W oczekiwaniu na powrót Macieja, usiadłem na przydróżku i pogrążyłem się w myślach o spodziewanych dobrych łowach na jarząbki lub cietrzewie, w które las obfitował,—kiedy po upływie jakichś dziesięciu minut, usłyszałem w pobliżu i w stronie lasu, przy której siedziałem, pewien szelest jakby stąpania po suchych i rozsuwających się gałęziach choiny. Pochwyciłem za leżącą około mnie dubeltówkę, nabitą drobnym śrótem, i jednocześnie spostrzegłem wychodzącego na drogę, ogromnego wilka. Nie spostrzegł mnie widocznie, bo wolnym krokiem przeszedł przez szeroką drogę i zanim doszedł do przeciwnej strony lasu, ukazał się za nim wilk drugi, a następnie za tym drugim i trzeci. Z początku i na widok aż trzech postępujących za sobą wilków, z któremi spotykałem się po raz pierwszy w życiu, ogarnął mnie pewien niepo-

kój, ale wkrótce przemogła widać ambicya myśliwego, bo skoro wilk ostatni dochodził już do lasu, zmierzyłem się szybko i dałem do niego ognia. Wilk, widocznie raniony, zrobił skok w górę; strzeliłem do niego raz drugi, rzucił się o ziemię, podniósł jednak szybko i czy to bezwiednie, czyli też w zamiarze zemsty rzucił się w susach ku mnie. Położenie moje stało się wielce krytyczne. Przyznaję się, że zadrżałem wobec grożącego mi niebezpieczeństwa, gdy nagle rozległ się z tyłu strzał trzeci i wilk runął na ziemię, o kilka kroków odemnie. Był to strzał powracającego Macieja, który skarcił mnie wprawdzie surowo za strzelanie do wilka drobnym śrótem i to znajdującego się w gromadzie, ale cieszył się w duszy; przyznał mi się później, że znalazł we mnie, jak się wyraził, fundament na dobrego myśliwego.

Powrót do domu był iście tryumfalny. Rozumie się, że o strzale Macieja mowy nie było. Honor zabicia wilka pozostał naturalnie przy mnie i z dumą głosiliśmy go z Maciejem w całej okolicy. Jedna tylko moja matka nie bardzo jakoś cieszyła się z mego zwycięztwa, chociaż dokonałem go rzekomo, pod nadzorem takiego doświadczonego wojaka i myśliwego, jakim był poczciwy stary Maciej, ów wzór wiernych sług i zarazem prawdziwych przyjaciół dworu, po których, niestety! została tylko tradycya.

L. Łaszcz.

Gruba zwierzyna w Norwegii
w 1901 roku.

W r. 1901 zabito w Norwegii następujące ilości łosi, reniferów i jeleni:

	Łosie			Renifery	Jelenie
	Byki	Klempy	Razem	Razem	Razem
Smaalenene . .	25	12	37	—	—
Akershus	28	23	51	—	—
Hedemarken . .	74	45	119	36	—
Kristians . .	33	52	85	150	—
Buskerud . . .	39	35	74	24	—
Jarlsberg i Larvik	17	22	39	—	—
Bratsberg . . .	42	26	68	51	—
Nedenaes	3	3	6	52	—
Lister i Maudal .	—	1	1	16	—
Stavanger . . .	—	—	—	29	—
Polud. Bergenhus .	—	—	—	27	23
Północ. Bergenhus	—	—	—	31	62
Romsdal	—	—	—	57	17
Polud. Trondhjem	33	23	56	6	78
Północ. Trondhjem	132	104	236	—	—
Nordland	6	5	11	—	—
Tromsö	—	—	—	—	—
Finmarken . . .	—	—	—	6	—
w r. 1901	432	351	783	485	180
w r. 1900	357	296	653	368	214
w r. 1899	460	383	842	804	198

Okazuje się, że w r. 1900 zabito blizko o 200 sztuk łosi mniej, aniżeli w roku poprzednim, na co wszakże nie wpłynął wyłącznie skrócony sezon polowania, określony nowem prawem, które zostało wprowadzone z d. 1 lipca tegoż roku.

W r. 1900, dzięki bardzo wysokiej cenie, wyrąb drzewa był niezwykle duży w lasach Söndenfjeldske. Naturalnie, wrzawa, tem spowodowana, była ogromna, lecz większym był jeszcze hałas podczas dostawy kloców do rzeki, gdy zazwyczaj znaczna ilość psów wiejskich towarzyszy ludziom. Łosie były wtedy niespokojne i trudno je było spotkać w zwykłych ich ostojach; nadto w bardziej na północ posuniętych okolicach, pogoda nie była przyjazna podczas sezonu polowania.

Wpływ ograniczeń, jakie przepisuje nowe prawo, na dzikie renifery aż nadto jest widoczny z ilości zabitych w r. 1900 i 1899, zaledwie 368 sztuk przeciw 804.

O ile środki, przedsięwzięte w r. 1902, a zabezpieczające reniferom zupełną ochronę na lat pięć, były potrzebne lub nie.— zdania są nader podzielone.

Zdawałoby się, że w ilościach jeleni małe były różnice, lecz ze 180 sztuk, zabitych w 1901 r., nie mniej jak 55 zabitych było wprawdzie w sposób nieprawidłowy, lecz na zasadzie paragrafu 21, który pozwala posiadaczowi gruntu tępić jelenie (nie cielęta) na gruncie przez niego uprawianym, w każdej porze roku, o ile zwierzęta te robią szkodę w ogrodzie, na łące lub wśród sadzonych drzew.

Z WYSTAWY SPORTOWEJ.

W d. 25 odbyła się ekspertyza w dziale broni i przyborów myśliwskich na obecnej Wystawie Sportowej. Gremium sędziów w osobach pp. Władysława Słonczyńskiego (przewodniczącego), Edwarda Ordy, Jana Sztolcmana, Wacława Paszkowskiego, Stanisława Lilpopa, Józefa Rawicza i Antoniego Fertnera przyznało następujące nagrody:

Firmie „Robert Ziegler“ *Wielki medal srebrny* za przedstawioną broń myśliwską, oraz p. Robertowi Zieglerowi *Wielki medal złoty* za zbudowanie wzorowej strzelnicy.

Firmie „B. Ronczewski“ *Wielki medal złoty* za wielki wybór broni myśliwskiej; *Mały medal złoty* za broń własnego wyrobu i *Wielki medal srebrny* za wyroby skórzane roboty p. Cichockiego.

Firmie „J. Sosnowski“ *Wielki medal złoty* za broń myśliwską własnego wyrobu; *Mały medal złoty*—za wybór broni zagranicznej i *Mały medal srebrny* za przybory myśliwskie własnego wyrobu. Nadto współpracownikowi tej firmy, p. Zygmuntowi Wilbikowi, *Dyplom uznania* za nowe pomysły w ulepszeniu mechanizmu broni bezkurkowej z ezektorami o jedym cynglu, jako też za wyborową robotę puszkarską.

Firmie „Bagiński“ *Medal bronzowy* za broń myśliwską.

Firmie „J. Kamieński“ *Medal bronzowy* za przybory skórzane.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Nadzwyczajne Ogólne Zebranie, 15 lipca. Przewodniczył na tem Zebraniu p. Blumental; trzymającym pióro był p. Dworzycki.

Przedmiotem obrad była li - tylko kwestya odnowienia lokalu Oddziału. Ponieważ projektowane przez Komisyę roboty, według kosztorysów, złożonych przez różne firmy, kosztować miały 2994 ruble, przeto Rada, nie chcąc brać na swoją odpowiedzialność tak znacznego wydatku, postanowiła porozumieć się w tym razie z ogółem Członków i zwołała Zgromadzenie Ogólne. Przed zebraniem rozeszły się błędne wiadomości, jakoby lokal miał być oświetlony elektrycznością, wobec czego p. Wigura interpelował w tej kwestyi. Ponieważ elektryczność już w ciągu jesieni b. r. może być dostarczoną przez stacyę miejską konsumentom, przeto—o ile lokal miałby być elektrycznością oświetlony—gruntowne odnowienie onego w ciągu bieżącego lata byłoby przedwczesne. Dyskusya jednak wyjaśniła, że instalacya elektrycznego oświetlenia jest tak droga, iż z decyzyą w tym przedmiocie należy się jeszcze czas jakiś wstrzymać; natomiast lokal Oddziału jest tak brudny, że odnowić go bezzwłocznie należy. Ogólne Zebranie zdecydowało, aby odnowienie było rozpoczęte i prowadzone jaknajśpieszniej, i asygnowało sumę, przewidzianą kosztorysami.

Posiedzenie Rady, 22 lipca. Z powodu zapytania właściciela Strzelnicy Warszawskiej, p. Roberta Zieglera, czy w r. b. nasz Oddział urządzi konkursy strzeleckie, Rada postanowiła konkursy urządzić w ciągu jesieni b. r. Do opracowania całego projektu tych strzeleckich zapasów, zaproszono p. Jana Sztolcmana, Władysława Słończyńskiego i Józefa Zarembskiego. Projekt ma być przedstawiony Radzie jaknajśpieszniej.

P. Adam Zakrzewski, Członek Rady, nadesłał pismo, w którem prosi o uwolnienie go od obowiązków Członka Rady i wykreślenia z listy Członków Towarzystwa. Rada postanowiła prosić p. Zakrzewskiego o cofnięcie swojej dymisyi.

P. Pfejfer zmienia stróżów przy miejscu ochronnem w Guzowie i prosi o zamianowanie kandydatów, których przedstawia. Żądaniu będzie uczynione zadość po sprawdzeniu kwalifikacyi owych kandydatów.

Toż samo czyni p. Drozdowski w Cybulicach, co również uwzględnione zostało.

Drobiazgi myśliwskie.

Dubelty pojawiły się w okolicach Warszawy, o czem donosi nam jeden z prenumeratorów, który w dniu 30 lipca zabił na łąkach pod Powsinkiem trzy sztuki tych rzadkich dziś u nas ptaków. Ostatni raz widziano tam dubelty przed czterema czy pięcioma laty.

Kłusownictwo psów i kotów. Do najgorszych wrogów zwierzostanu w rewirach myśliwskich należą psy i koty sąsiednich wsi, dworów i miasteczek; im bliżej graniczą z sobą, tem większe bywają szkody. W porównaniu z psami i kotami, znany lis drapieżny jest niewiniątkiem. Zagranicą tępią one głównie króliki, u nas jednak w braku królików, biorą te drapieżniki wszystko, co się da schwycić.

Równie dobrym kąskiem są dla psów i kotów młode sarniątka, zające, bażanty i kuropatwy, jak i wszelka zwierzyna młoda lub drobna. Starsze sarny są także w niebezpieczeństwie, gdy dwa psy polują razem, co się zresztą zdarza najczęściej. Pies sam jeden polujący, nie jest nawet tak bardzo niebezpieczny, ponieważ wtedy zwierzyna przeważnie ratuje się szczęśliwie ucieczką. Natomiast dwóm psom rzadko kiedy ujdzie zając lub sarna.

O tego rodzaju polowaniu opowiada jeden z leśniczych, że widział raz zdaleka goniące zwierzynę dwa kundle. Po kilku godzinach znalazł w rewirze zagryzioną przez psy, sarnę. Nazajutrz psy znowu się zjawiły, ale tym razem gajowy ubił jednego z nich.

Najwięcej narażone są rewiry, znajdujące się w pobliżu większego miasta. Tutaj niewiele pomaga strzelanie błąkających się psów i kotów, ponieważ wciąż napływają nowi goście z miasta, zjawiając się zwykle późnym wieczorem.

Co się tycze kotów, to te łatwiej ubić w polu, niżeli psy. Pierwsze bowiem, ujrzawszy człowieka, przysiadają, a wtedy można łatwo łudzić je, że się ich nie widzi, a zbliżywszy się odpowiednio, wystrzelić.

Kozioł „szalony“. W maju r. b., jak opowiada „Wild u. Hund“, jeden z myśliwych napotkał w lesie szalonego kozła. Był to piękny szóstak, który na widok zbliżającego się myśliwca na koniu i z psem, stanął jak wryty, nie wiedząc widocznie co mu czynić wypada. „Zbliżyłem się— pisze świadek naoczny— na jakie 5 kroków do kozła, ale ten nie okazywał mimo to wcale chęci do ucieczki. Nagle zerwał się i wyskoczył na ścieżkę, lecz w tej chwili przewrócił się i upadł, leżąc na boku. Stanął znowu na nogi i raz jeszcze stracił równowagę. Teraz wyciągnął się tuż obok kopyt mego konia. Sądząc, że to postrzelona przez kolegę sztuka, zeskoczyłem z konia i uchwyciłem kozła za rogi, podczas gdy on bił nogami o ziemię“. Zbadawszy dokładnie zwierzę, myśliwy przekonał się, że niema nigdzie śladu jakiegokolwiek strzału. Przypuszczał przeto, że ma przed sobą okaz „obłąkany“, chory na kołowaciznę, która zdarza się zarówno u owiec, jak u saren. Potem jednak przy odbijaniu rogów, znalazł w czaszce pod nasadą rogu dziurę wielkości grochu, przyczem sam mózg nie był wcale uszkodzony. Po naradzie ze znawcą, doszli obaj do przekonania, że kozioł został skaleczony w walce z rywalem, który mu przedziurawił rogiem czaszkę, a przeto raniony kozioł oszalał. Wypadek ten zdarzył się zapewne podczas żerowania, gdyż zwierzę miało świeżą paszę w żołądku.

Wypadek śmiertelny. W Petersdorfie na Szląsku Górnym, nadleśny Glaeser wracał do domu z obchodu rewiru. Ponieważ deszcz lał rzęsisty, G. przewiesił przez ramię broń nabitą, z lufą, zwróconą ku dołowi. Po drodze potknął się i upadł. Broń przytem wystrzeliła, a kula utkwiła w udzie, gdzie też pozostała. Dopiero po dłuższym czasie znaleziono nieszczęśliwego i przeniesiono do domu. Wskutek silnego upływu krwi G. zmarł niebawem. Liczył lat 63, a na służbie był 48 lat.

Straszną śmiercią zginął w Paryżu d. 2 lipca r. b. niejaki Jules Lancelle, dozorca zwierząt w Jardin des Plantes. W chwili gdy zapędzał hipopotama do stajni, zwierz, zwykle spokojny, rzucił się nagle na swego dozorcę i w jednej chwili zmiażdżył mu kości miednicy, wypuszczając wszystkie jelita na zewnątrz. Nieszczęśliwy Lancelle, zmarł w szpitalu de la Pitié, dokąd go przeniesiono. Człowiek ten, liczący 62 lat, był na służbie od 1873 r. i w krótkim czasie miał otrzymać emeryturę. Straszna śmierć jego, która nastąpiła wobec licznych spektatorów, obudziła żal powszechny, gdyż Lancelle, jako człowiek prawy i doskonały służbista, był powszechnie lubiany.

Kłusownik w spódnicy. W Bawaryi sądzono niedawno sprawę, która wywołała powszechną sensacyę w kołach myśliwskich. Oskarżoną była dziewczyna, uprawiająca kłusownictwo. Odkryto ją przy następujących okolicznościach. W obwodzie Unterfranken dzierżawi rewir pan A. S., który przekonał się, że zwierzyna pada za często ofiarą niegodziwych kłusowników oraz pułapek, przez nich ustawianych podstępnie. Raz znalazł żelaza z pękiem wydartej szerści sarny oraz kawałkiem gazety, zostawionej przez kłusownika. Z tem *corpus delicti* udał się do żandarma, poczem obydwaj powrócili natychmiast celem poszukiwania dalszych wskazówek. Zajęci oględzinami miejsca występku, ujrzeli zbliżającą się dziewczynę. Była to siostra pastora z poblizkiej wioski. O pannie tej krążyły już dawno wieści, że ma szczególne zamiłowanie do myślistwa. „Dyanę“ bawarską spotykano często w lesie w otoczeniu jamnika i psa większego; oba psy odznaczały się podobną gorliwością łowiecką, jak i ich właścicielka. Żandarm wiedział o tych pogłoskach, zapytał przeto dziewczynę, czego szuka w lesie, a ona odrzekła spokojnie, że spaceruje dla rozrywki. Przypatrzywszy się jej jednak bliżej, znalazł pod fartuchem u niej—zająca. To przywiązanie do *Lepus timidus* upoważniło żandarma do dokonania rewizyi w domu, gdzie znalazł skórę sarnią i kilka wypchanych zajęcy. Następnie zrewidował mieszkanie wielbiciela dziewczyny w tej samej wiosce i znalazł w niem kilka pułapek. W sądzie jednak uwolniono „tym razem“ dziewczynę dla braku dowodów.

Puszczyk drapieżnik. Jeden z myśliwych zagranicznych opowiada, że w rewirze swym usłyszał raz krzyk wron. Idąc w tym kierunku, widział około tuzina tych ptaków, krążących ustawicznie na jednem miejscu na łące. Zbliżywszy się na jakie 100 kroków, usłyszał pisk zajączka. Podszedł więc ostrożnie na

strzał śrótowy i wystrzelił do drapieżnika. Po strzale ukazał się drugi ptak ukryty dotąd w trawie i tego ubił zaraz. Okazało się, że były to puszczyki (*Strix aluco*) które rzuciły się na zajączka, aczkolwiek nikt nie podejrzewa tego ptaka o drapieżność.

Szkodliwość fok. Według „D. Fischer Ztg." w północnej Norwegii psy morskie robią znaczne spustoszenia w rybach. Masami fok napłynęło w ostatnich czasach z morza lodowatego do kraju północnego i tępienie ryb przez tych szkodników uważają w Norwegii jako ogólną klęską. Tak są śmiale, że nawet dopływają do fortów i tępią wszystko, co im podpłynie. Jako przyczynę pojawienia się tak wielkiej ilości fok podają tępienie wielorybów, z których szczególnie małe gatunki były pogromcami psów morskich i ztąd taka masa fok obecnie się namnożyła. Podobno rybacy wystąpili do władz o zaprowadzenie ochrony wielorybów z okresem co najmniej 30-letnim.

W kwestyi ochrony lampartów śnieżnych *) **w Indyach**. Markiz Aylesburg na posiedzeniu izby lordów założył protest przeciw propozycyi rządu indyjskiego, który zamierza używać do siodeł dla tworzącego się korpusu kadetów, a w którym mają być kształceni synowie książąt indyjskich, skóry z lampartów śnieżnych.

Lamparty te w Indyach należą już do rzadko spotykanych zwierząt, niezwykle trudne są do upolowania ze względu i na charakter bardzo bojaźliwy. Dostarczane skóry przez krajowców pochodzą z lamparów schwytanych na żelaza lub też otrutych. Lamparty te nigdy nie napadają ludzi, gdyż wogóle stronią od siedzib ludzkich. Przedstawiciel indyjskiego rządu starał się przekonać małem zapotrzebowaniem, gdyż jak na teraz potrzeba było 20 skór. Motyw ten nie trafił do przekonania, a przedewszystkiem naruszone byłyby przepisy ochronne, których celem jest możliwe zapobieganie tępieniu różnych gatunków grubego zwierza w Indjach. Skóry lampartów białych nie są nawet ładne, gdyż centki są koloru siwego, a tło skóry brudnobiały; o wiele piękniejsze są skóry lampartów zwyczajnych.

*) Mowa tu zapewne o t. zw. irbisie (*Felis irbis*), zamieszkującym górne piętra Himalayów, Kaukaz, Syberyę południową etc. etc. (*Redakcya*).

Treść Nr 15 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

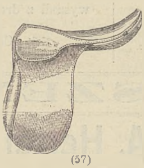
Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

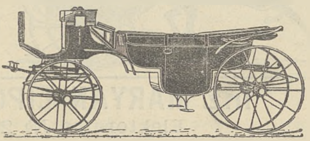
„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

240





Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюля 1903 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa.